

diawors
PARADA



ROK III

NIEDZIELA, 1 LIPCA 1945 R.
SUNDAY, JULY 1, 1945

Nr 14 (58)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów



J. K. M. Król Jerzy VI

URODZINY
KROLA
JERZEGO VI
14 CZERWCA
1945 ROKU



Uroczystości urodzin J. K. M. Króla Jerzego VI w Kairze. Na trybunie: Lord Killearn Ambasador brytyjski, Generał Sir Bernard Paget Dowódca Śr. Wschodu oraz Marszałek lotnictwa Sir Charles Medhurst Dowódca Sił Powietrznych Śr. Wschodu; u dołu: fragment defilady



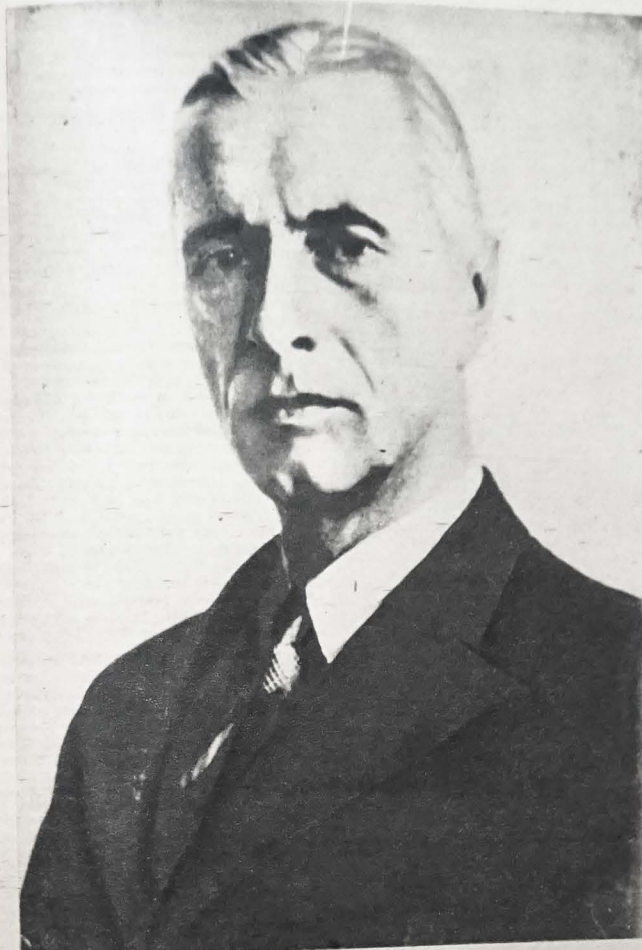
DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE
ROK III

PARADA

FORTNIGHTLY REVIEW OF
THE POLISH ARMY IN THE EAST

NIEDZIELA, 1 LIPCA 1945

№ 14 (58)



Prezydent R. P. Władysław Raczkiewicz



Dowódca 2 Korpusu Generał Dywizji Władysław Anders

Dzień św. Władysława jest świętym Patrona Prezydenta Rzeczypospolitej, Władysława Raczkiewicza i Generała Władysława Andersa. Prezydent Raczkiewicz, który od Września 1939 roku, w niezmiernie ciężkich warunkach reprezentuje Państwo Polskie — zaskarbił sobie uczucia szacunku i wdzięczności wszystkich Polaków — zjednoczonych w walce o Polskę całą, wolną i niepodległą. Imię Generała Władysława Andersa, — który ku radości żołnierzy stoi

znów na czele 2 Korpusu — posiada w Narodzie Polskim specjalny dzwiek. Pod Jego dowództwem żołnierze polski przemierzali pół świata, idąc przez trzy kontynenty — odnosząc pamiętne zwycięstwa na ziemi włoskiej. Głowie Państwa Polskiego i Wodzowi spod Cassino — żołnierze polski, gdziekolwiek się znajduje, składają w dniu Ich Imienin serdeczne życzenia zwycięskiego powrotu do Kraju.

Oświadczenie Premiera Arciszewskiego w sprawie procesu w Moskwie

W związku z zakończeniem procesu przeciw polskim przywódcom politycznym w Moskwie, Premier Rządu Polskiego Tomasz Arciszewski oświadczył na konferencji prasowej w dniu 22 czerwca b. r. co następuje:

Stwierdził między innymi, iż w jednym punkcie w każdym bądź razie jest zgodny z opinią Moskwy, — że proces, który został właśnie zakończony nie tyle był wymierzony przeciwko jednostkom, ile przeciwko Rządowi i Narodowi Polskiemu.

Proces moskiewski zmierzał do następujących celów politycznych:

1. Do zdyskredytowania legalnego Rządu Polskiego i mas polskiego społeczeństwa, które dobrowolnie podporządkowuje się jego kierownictwu.
2. Do usunięcia przywódców polskiego ruchu podziemnego, którzy przez pięć i pół lat walczyli przeciwko Niemcom i którzy są prawdziwymi reprezentantami Narodu Polskiego.
3. Do zastraszenia Polaków, którzy obecnie prowadzą w Moskwie rozmowy w związku z utworzeniem nowego rządu.
4. Do zdyskredytowania wszystkich ruchów i organizacji nie inspirowanych i kierowanych przez Moskwę, w Europie centralnej kontrolowanej przez Związek Sowiecki.

Premier Arciszewski zapowiedział, że w związku z procesem moskiewskim oraz rozmowami zmierzającymi do utworzenia „rządu jedności narodowej”, Rząd Polski wystosuje apel do Premiera Churchilla, Prezydenta Trumana i opinii publicznej wolnych narodów świata.

Premier oświadczył, że stanowisko Rządu Polskiego w odniesieniu do obecnej sytuacji dyktowane jest deklaracją Rady Jedności Narodowej reprezentującej polskie stronnictwa demokratyczne w Kraju. Deklaracja powyższa, świeżo nadeszła do Londynu, w następujący sposób określa fundamentalne warunki niepodległości Polski:

1. Natychmiastowe zaprzestanie działalności politycznej Armii Czerwonej i NKWD na terenie Polski.
2. Powrót do Kraju Armii Polskiej z zagranicy i polskiej ludności cywilnej.
3. Jak najszybsze wycofanie wojsk sowieckich z Polski.

W zakończeniu Premier Arciszewski podkreślił z mocą, że Polska, której udział w walce Narodów Sprzymierzonych jest tak wielki, zyskała sobie prawo do prawdziwej demokracji i prawdziwej wolności, imię których to idei, wierzyliśmy, wojna ta została podjęta. Rząd Polski pragnął zawsze przyjaznej polityki i dobrosąsiedzkich stosunków ze Związkiem Sowieckim — jednakże nie za cenę utraty niepodległości Polski.

NA KRECIE DZIEJA SIĘ CUDA

Korespondencja własna „PARADY” — HENRYK LANDOWSKI



Port Heraklion na Krecie



Niemiecy jeńcy na Krecie

Do dziewiątego cudu świata zaliczyć można obecną sytuację polityczną, jaka na Krecie. Pośród 16 międzynarodowych korespondentów wojennych (Rosjan nie póhthora dnia, znalazłem się i ja, skromny żołnierz, nie będący ani korespondentem wojennym, ani kinooperatorem.

Dwusilnikowy transportowiec amerykański zawiózł nas na Kretę w niespełna 4 godziny. Kretę widzieliśmy już z odległości dziewięciu mil. Lotnisko Malezym wyładowaliśmy, przypomina płaz Kozłowskiego na Saskiej Kępie w Warszawie. Jest ono tym samym wąskim lądowiskiem, na którym przed czterema laty, po raz pierwszy w historii, w olbrzymiej ilości wyładowali Niemcy — spadochroniarze i szybowce, tracąc około 80 proc. ludzi i sprzętu.

Nie zdążyliśmy jeszcze dokładnie rozejrzeć się w terenie, gdy nagle na drodze, prowadzącej do Xania, ukazały się dwie ciężarówki, a za nimi w odległości kilku metrów karier angielski. Ku wielkiemu zdziwieniu („przeżeniu” — powiedziałbym raczej) zamiast żołnierzy angielskich, zobaczyliśmy żołdaków niemieckich, uzbrojonych po zęby. Na dachu szoferki stał ckm, a każdy z Niemców trzymał w ręku karabin. Z ich twarzy nie można było poznać, że należą do armii państwa, które przegrało wojnę — tak zdecydowany sposób. W karierze siedzieli trzech Anglików, którzy przejeżdżając, witali nas podniesionym kciukiem. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund i przedziwny konwój znikł za pagórkami.

Clete Roberts, amerykański korespondent radiowy „Blue Network”, zwrócił się do załogi samolotu zapytaniem, czy rzeczywiście wyładowaliśmy na Krecie, a nie gdzie indziej. Nikt nic nie mógł zrozumieć. Przecież prasa już od dawna donosiła o zupełnej kapitulacji Niemiec i całego Wehrmachtu.

— Ale i prasa czasami zawodzi — odezwał się fotoreporter włoskiego wydania „Stars and Stripes”.

— Nie wygląda to jednak groźnie, skoro Niemcy nie zatrzymali się na nasz widok — dorzucił pomocnik korespondenta radiowego, gruby sierżant amerykański, po czym zabrał się do wyładowywania aparatów i akumulatorów z samolotu.

Tymczasem nadjechał jeep, z którego wysiadł sierżant z RAF-u z opaską „Field Security”. Zasypany przez nas pytaniami, twierdził, że pomimo kapitulacji niemieckiej, podpisanej dwa tygodnie temu, Niemcy wycofali się, zgodnie z umową, zaledwie przed dwoma dniami na wschód od Xania, gdzie w dalszym ciągu wolno im pozostać pod bronią, do czasu ewakuacji ich z wyspy. Są jednak używani do pracy.

Po załatwieniu formalności, udaliśmy się do maleńkiego budynku portu lotniczego. Na budynku zawieszona była tablica z napisem: „Wstęp do strefy niemieckiej tylko za okazaniem przepustki Dowództwa Sił Sprzymierzonych”.

Major Newman z amerykańskiego Public Relations, dowódca naszej grupy, udał się do miasta, by wystarać się o wodę i specjalne przepustki, upoważniające do przekroczenia strefy niemieckiej. Przed przekroczeniem strefy niemieckiej, pustka, którą przywiózł nam Newman, z pewnością przejdzie do historii, jako jeden z najdziwniejszych dokumentów, kiedykolwiek wydanych. Już sama nazwa za siebie mówi:

SONDERBESCHEINIGUNG
(zaświadczenie specjalne)

Niniejszym udziela się zezwolenia na przebywanie na terenie zajętych przez wojska niemieckie majorowi Newman oraz wojskom, znajdującym się pod jego rozkazami. Wszyscy oficerowie armii niemieckiej okażą wszelką możliwą pomoc w wykonywaniu rozkazów dowódcy Wojsk Sprzymierzonych.

Podpisał general-brygadiera
Preston Forces

Ruszyliśmy. Clete Roberts usiadł obok szofera, wziął mikrofon przenośny do ręki i całą drogę aż do miasta nagrywał „steel” i mówiąc o wszystkim, co widział po drodze. Sierżant Bob, jego pomocnik sprawdził działanie szpulki, regulował ton, a ponieważ jest człowiekiem wielkiej tuszy, pocił się niebywale, przeklinając na czym

świat stoi. Nie liczył się z obecnością przystojnej Miss Doris Duke Cromwell, która także tu się znalazła. Daisy, jak ją powszechnie nazywają, znana zresztą każdemu G.I.sowi, jest bodajże najbogatszą Amerykanką. Reprezentuje koncern Hearst „International News Service”. Na jąstacie swojego kremowego kostiumu miała przypięty srebrny medal, podobny do medali noszonych przez nunsy angielskie. Medalem tym udekorowana została przez marszałka sowieckiego Tołbukhina, w czasie wizyty złożonej mu w jego kwatery głównej przez gen. Pattona Jr.

Historia dekoracji przypomina zabawne sceny, jakie widzieć można w filmach „Made in Hollywood”. Miss Daisy znalazła się przypadkowo w kwatery głównej gen. Pattona, który na zaproszenie gen. Tołbukhina miał udać się do kwatery głównej marszałka sowieckiego. Dotychczas została także zaproszona i jeep zawiózł oboje do Walsee w Austrii, gdzie Tołbukhin urządził wielkie przyjęcie. Stoły zastawione były wódką i kawiorami, orkiestra przygrywała gościom do tańca, a pod koniec uczt specjalnie zaproszona śpiewaczka rosyjska bawiła gości repertuarem rosyjskim. Gen. Patton być może — był podochocny, kiedy w pewnej chwili podszedł do śpiewaczki i przypiął jej Gwiazdę Brązową (Bronze Star), którą nosił przedtem na własnej piersi. Marsz. Tołbukhin, nie chcąc pozostać w tyle, także powstał, zdjął jedno ze swych licznych odznaczeń i wręczył je jedynej znajdującej się w tym towarzystwie, Amerykance, Miss Doris Duke Cromwell. Obiecano jej przystać specjalny dyplom, upoważniający do noszenia orderu, ale jak dotychczas nic nie nadeszło.

Szosa z Xania do portu prowadzi przez maleńkie wioski, bardzo podobne do tych, które widzi się w tak wielkiej ilości w samej Grecji. Te same maleńkie kawiarenki z charakterystycznym napisem „Katheneion” i ci sami robotnicy, siedzący przy kawiarenkach Aten, czy Pireusu. Wszyscy oni, czy z Krety, Faleronu, czy Salonik — są rozpolitykowanymi i właściwie innych tematów rozmowy nie uznają.

Na widok naszych samochodów powstał z miejsc i przyjaźnie się uśmiechali. Podnosili kciuki do góry i wołali: „Zito Anglia, zito Ameryka!” (Niech żyje Anglia i Ameryka).

W porcie słońce pracuje na całą parę. Wyładowywano statki, które przybyły tu z towarem UNRRA. Cywili tutaj nie widziałem. Same wojsko. I to... wojsko niemieckie. Każdy żołnierz był uzbrojony. Było ich tu chyba z tysiąc. Słuchali rozkazów swoich podoficerów, pracując w pocie czoła dla... Dowództwa Sprzymierzonych.

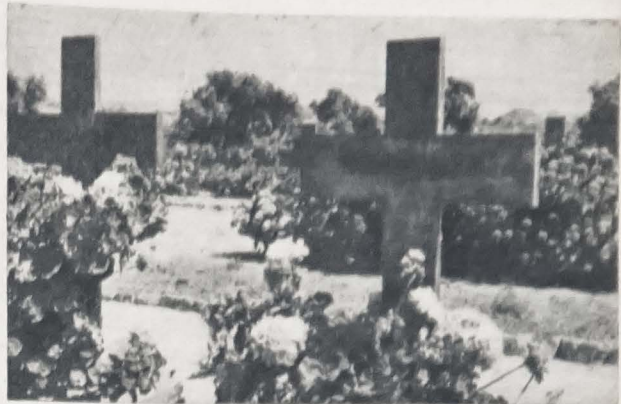
Wśród kilkunastu statków, stojących w porcie, spostrzegłem na jednym z nich flagę żeglugi polskiej. Czym prędzej udałem się na statek. Był to stary przedwojenny „Levant”, podobny trochę do „Warszawy”, storpedowanej w 1941 roku. Na statku naszym także pracowali uzbrojeni Niemcy, rozładowywali jakieś towary. Kapitan statku, zdziwiony zjawieniem się żołnierza 2 Korpusu, sprawił mi naprawdę jak najwspanialsze przyjęcie.

W kajucie kapitana zobaczyłem na ścianie zdjęcia, dobrze mi znane, z terenów walk 2 Korpusu. Widziałem tam między innymi zdjęcie gen. Andersa, klasztor na Monte Cassino i wiele innych. Na półkach zobaczyłem stare numery APW i Parady. Zainteresowanie załogi było wielkie. Opowiadali, że rzadko widują Polaków i za każdym razem niezmiernie cie-

szą się ze spotkaniem. Żyją z dnia na dzień, słuchając radia, a od czasu do czasu nadchodzą stare, spóźnione gazety.

— Na statku, wśród pracujących „dziś rano Niemców — mówił mi kapitan — było kilku Polaków. Nieśmiało podchodzili do mnie i do ludzi z załogi i pytali się, czy są jakieś możliwości porozumienia się z odpowiednimi władzami polskimi. Niektórzy z nich — dodał kapitan — gotowi byli pozostać na statku. Niestety, nie byłam w stanie ich zatrzymać, ponieważ o każdym żołnierzu, znajdującym się na statku, wiedział ich przełożony, który ich odliczał po opuszczeniu statku.

Słońce miało się już dobrze ku zachodowi, kiedy opuszczałem s.s. „Levant”. Noc, którą spędziłem w Xania, była gorąca, a komary gryzły potwornie. Od czasu do czasu Niemcy puszczali rakietki świetlne, tak sobie — jedynie dla zabawy. Na Krecie nie ma już wojny.



Grobowski... nazwisko mówi wszystkim

Szawby pracują w porcie



Ulica 1866 roku (rok rewolucji) w Heraklion — centrum handlowe portu



s/s „Levant”



POLSKA BRYGADA SPADOCHRONOWA OKUPUJE NIEMCY

Korespondencja własna „PARADY”
EUGENIUSZ ROMISZEWSKI



Spadochroniarz ogląda w Niemczech ślady niedawnych walk

Gazetka Brygady „Spadochron”, wychodząca co drugi dzień, ukazała się również podczas podróży. Oto numer drukowany w Ostendzie, w Belgii



Samochody Plutonu Opieki Brygady Spadochronowej w drodze do Niemiec

W maju bieżącego roku, Polska Brygada Spadochronowa miała wziąć udział w akcji bojowej, ale upadek Niemiec pokrzyżował te plany. Zamiast znów wypełnić niebo wrogów pięścią silników samolotowych, nasi spadochroniarze udali się — już jako zwyczajni śmiertelnicy — drogą morską na okupację Niemiec. Kiedy piszę te słowa, 1 czerwca, Brygada znajduje się w chwilowym miejscu postoju w Kellen koło Kleve, w dolnej Nadrenii, ale kiedy te słowa dotrą do czytelnika, napewno spadochroniarze będą już w innym miejscu, na przydzielonym im obszarze okupacji.

Kellen znajduje się w jednej z najbardziej zniszczonych okolic Niemiec. Tutaj toczyły się od jesieni ubiegłego roku, od lądowania Brygady Spadochronowej w Arnheim, zaciekle walki o dostęp do Renu. Tutaj także, w kwietniu, nastąpiło przełamanie linii obronnej Renu przez Sprzymierzonych, co otworzyło drogę w głąb Niemiec. Tędy także prowadziła droga Polskiej Dywizji Pancerniej, kiedy została przerzucona z odcinka frontu nad Mozą koło Bredy do ofensywnych walk w północnej Holandii i Niemczech, zakończonych zajęciem portu Wilhelmshaven przez naszych pancerniaków. Okolice,

Orkiestra Brygady Spad. na ulicy niemieckiego miasteczka Kellen



General Crocken zapoznaje się z historią sztandaru Brygady. Kellen — Niemcy



Defilada Brygady Spad. na ulicy niemieckiego miasteczka Kellen



w których przebywa obecnie Brygada Spadochronowa, to wyludniona krajina pomuranych ruin. Malownicze niegdyś miasteczka nadreńskie: Kleve, Cooch, Kalkar, Xanten, Emmerich, ile ich było, niektóre o starych, rzymskich tradycjach i z pięknymi średniowiecznymi budynkami, należą już do przeszłości, miast tych nie ma. Pozostały tylko zwaliska gruzów — ślad niemieckiego obłędu, który doprowadził do takiego kataklizmu.

Samo Kellen, niewielka osada przyfabryczna, ocalała jakimś cudem. Spadochroniarze kwaterują w mieszkaniach, zakrekirowanych Niemcom. Na domach powiewają polskie chorągwie, a ulice rozbrzmiewają często krokami maszerujących oddziałów i muzyką orkiestry wojkowej. Orkiestra spadochroniarzy posiada tradycje, związane z polskimi wojskami na Błiskim Wschodzie. Została bowiem zorganizowana przez żołnierzy, którzy w drodze do Wielkiej Brytanii zatrzymali się w Afryce Południowej. Orkiestra występowała w szeregu południowo-afrykańskich miast, cieszyła się popularnością i kasą. Zarobione pieniądze szły częściowo na zakup instrumentów, większość jednak przeznaczano na pomoc dla Polaków z Rosji. Po przybyciu do W. Brytanii orkiestra zgłosiła się całością do wojsk spadochronowych, i wchodząc w skład kompanii sanitarnej, zapisała piękną kartę bojową w Drielu, koło Arnheim.

Sztandar Brygady Spadochronowej, to również fragment historii — może lepiej dostosowanej do naszej rzeczywistości, bo wiele w niej jest patosu i tragizmu. Sztandar ten został ufundowany i wyhaftowany przez Polki podziemnej Warszawy w 1943 roku. Spadochroniarze z W. Brytanii przejęli go dla Brygady z rąk warszawianek w jednym z kościołów w okupowanej przez Niemców Warszawie. Dopiero po roku przywędrował z wspaniałym, wrzeszczącym listem do Brygady Spadochronowej w Szkocji. Niewielu świadków wręczenia sztandaru w Warszawie pozostało przy życiu. Ten znak — upiękuszony już krwią, przelaną za wolność innych narodów, przez żołnierzy Brygady — jest jedną z największych świętości Wojska Polskiego na obczyźnie.

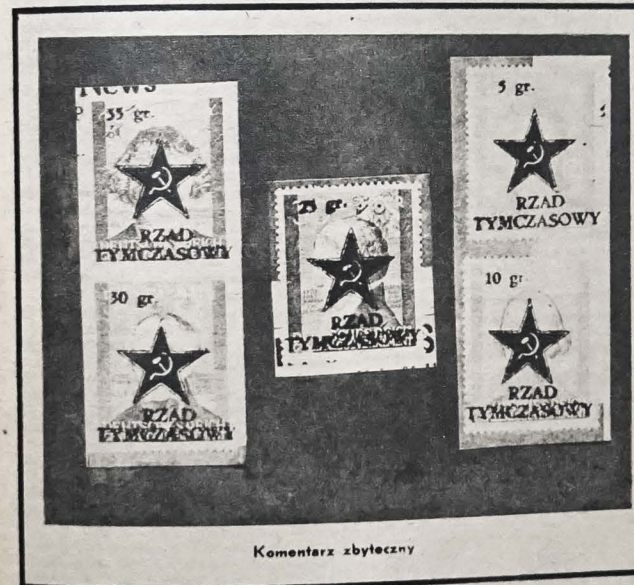
Żołnierze Brygady zachowują się w stosunku do Niemców ściśle według zarządzeń i rozkazów władz okupacyjnych. Zarządzenia te nakazują surowość w wymaganiu posłuchu i porządku oraz zabraniają kategorię wchodzić w jakieś, chociażby powierzchowne, stosunki towarzyskie z Niemcami, ale z drugiej strony wykluczają wszelką samowolę ze strony żołnierzy. Prawo musi być szanowane przez wszystkich. Nie jest to łatwe dla ludzi, którzy mają pełne uzasadnienie wziąć pełny odwet na Niemcach. Nie ma jednak przekroczeń i żołnierz polski w Niemczech, tak Dywizji Pancerniej, jak Bry-



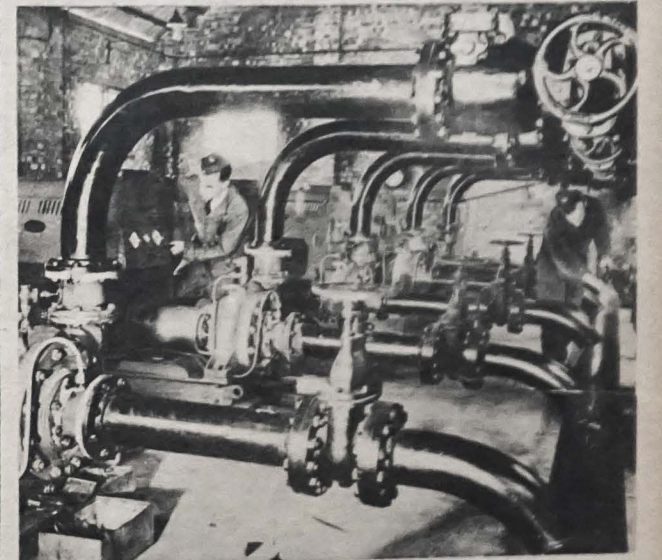
Światliczarka Polskiej Imki Basis — na statku z Brygadą Spad. w drodze z Wielkiej Brytanii do Niemiec

gady Spadochronowej i Polskiego Skrzydła Myśliwskiego rozumie znaczenie prawa i szanuje swoją przynależność do zdyscyplinowanego, cywilizowanego wojska. Niemcy, zaskoczeni tymi stosunkami, starają się zjednać sobie życzliwość polskiego żołnierza, uległością, nawet przymiłnością. Dobrze znają naszą słowiańską skłonność do wybaczenia strasznych krzywd i zawierania przyjaźni. Ta ich

taktyka jest tak stara, jak niemiecka krwiożerczość. Już nieraz Niemcy składali nam hołdy. Za przyjęcie Hołdu Pruskiego zapłaciliśmy państwem i wolnością. W roku 1939, za poprzednią gościnność i humanitaryzm, Niemcy w Polsce zapłacili nam zdradą — dywersją „piątej kolumny”. Sprawiedliwy los powierzył obecnie żołnierzowi polskiemu rolę wykonawców prawa i sprawiedliwości.



Komentarz zbyteczny



Pompy elektryczne tłoczą do rur paliwo

„Lancaster” ląduje na bieżni otoczonej pasem płomieni „Fido”



„FIDO” WRÓG MGŁY

„Fido” — jeden z ujawnionych ostatnio wynalazków tej wojny, ma ogromne znaczenie dla lotnictwa, ponieważ usuwa trudności w lądowaniu samolotów podczas mgły.

Działanie „Fido” polega na systemie ułożonych dookoła bieżni rur, przez które przechodzi płynne paliwo dostarczane w ilości 80.000 galonów na godzinę, przez szereg potężnych pomp elektrycznych.

Rury połączone są z szeregiem lamp zapalających. W ten sposób wytwarza się, nadokoło bieżni, pas z płomieni, który ogrzewa powietrze do bardzo wysokiej temperatury i całkowicie rozprasza mgłę na danym odcinku.

Z wynalazku tego korzysta 14 lotnisk we wschodniej Anglii.

ŚWIĘTA ULANÓW

ŚLĄSKICH



Dekoracja ulanów poznańskich odznaką pułkową



motory, zachowali jednak tradycyjną postawę bojową kawalerzysty polskiego. Udowodnili to w walkach na ziemi włoskiej, w walkach zwycięskich.

Bitwa o Cassino, to dla nich zdobycie Passo Corno i Monte Cairo. Potem walki o Anconę, na przedpolu linii Gotów, zdobycie Fugi, walki o Forlì, w których ginie ppłk. Kiedacz, organizator i dowódca pułku, wielki żołnierz.

W rozkazie ogólnym dowódcy Kresowej Dywizji Piechoty gen. bryg. Sulika, czytamy: „...Wspólnie przelana krew i wspólny trud żołnierski zdobyły dla Pułku Ułanów Poznańskich sympatię i serca innych rodzajów broni w Dywizji, a przede wszystkim piechoty Kresowej. Dumny jestem, że w podległej mi Dywizji miałem tak piękną jednostkę. Pragnąłbym mieć zawsze pod swoimi rozkazami takich dowódców i żołnierzy, jakich miał Pułk Ułanów Poznańskich”.

POZNAŃSKICH

Pułk Ułanów Poznańskich ma za sobą historię krwawą (czerwony był otok rogatywek) czterech kampanii, walk na ziemi polskiej i włoskiej toczonych: powstanie Wielkopolski przeciw Niemcom — rok 1918—19; wojna polsko-rosyjska 1919—20; kampania wrześniowa 1939 oraz boje włoskie 1944 roku.

Pułk powstał z oddziału konnego, który po rozbrojeniu niemieckiej jazdy, walczył już w drugim dniu powstania Wielkopolski. Udział Ułanów Poznańskich w wojnie z Rosją, wielkość tego udziału, pod dowództwem wówczas ppłk. Wł. Andersa, stwierdzona została najmocniej w dniu 23 kwietnia 1921 roku, kiedy w Poznaniu Marszałek Piłsudski udekorował sztandar pułku Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari. Wrzesień 1939 — szczególnie ciężki dla kawalerii polskiej, walczącej z czołgami — to dla Ułanów Poznańskich dwie przede wszystkim bitwy: forsowanie przejścia przez Bzurę oraz obrona Warszawy, na odcinku Mokotów, aż do dnia kapitulacji stolicy.

Zorganizowany w Rosji, w Jangi-Jul, batalion „S” rotmistrza Kiedacza przekształcił się w Iraku na pułk lekkiej kawalerii pancernej, — odtworzony znów pułk poznański. Ułani zamienili konie na



Na kiermeszu

Przekształceni po kampanii włoskiej 1944 z lekkiego pancernego na pułk czołgów, Ułani Poznańscy obchodzą święto pułkowe na pustynnym m. p. Egipcie. Jak co roku, w kwietniu, w rocznicę dekoracji Krzyżem Virtuti Militari. „Uważam was — powiedział wtedy Marszałek Piłsudski — za najlepszy pułk, jaki znam”. W kampanii włoskiej postarali się Ułani Poznańscy nie sprzeniewierzyć się dawnej opinii. Ten odwet za Wrzesień, zaznaczony krwawo na skórze Niemców, jest dzisiaj słuszną ich dumą.

Nie jak kiedyś w Poznaniu, przed pomnikiem Ułana przy ulicy Nowej, lecz na obcej ziemi odbył się teraz Apel Poległych w kampanii włoskiej. Apel, wypełniony wielokrotnie powtarzającym się echem — „poległ na polu chwały” — Tradycję i wysiłek wojenny Ułanów Poznańskich podniósł w przemówieniu dowódca pułku ppłk. Adam B. Przemawiał również dowódca Brygady Wielkopolskiej płk. B., który przed wojną był oficerem tego pułku.

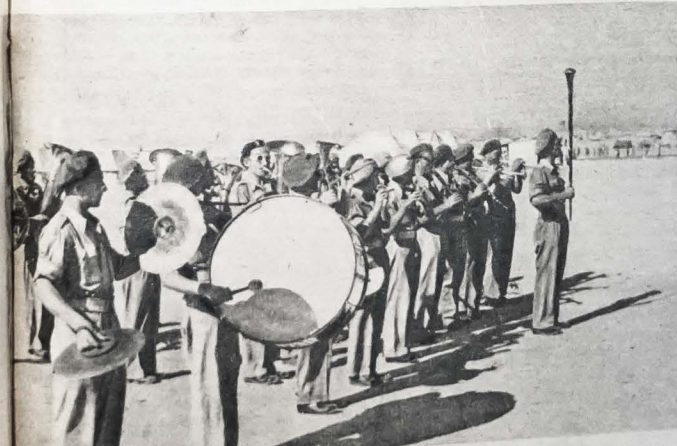
Następnego dnia, po mszy św. dowódca pułku dekorował ulanów odznaką pułkową. Odebrał również, w towarzystwie dowódcy Brygady defiladę.

Maszerowali weterani kampanii włoskiej, i młodzi żołnierze, którzy nienawistny mundur, niemiecką przemocą narzucony, zamienili wreszcie na ojczysty, polski. Defilowali — Ułani Poznańscy.

Potem był jeszcze kiermasz wesóły na smutnej, obcej pustyni.



Defilują



Defilada Pułku Ułanów Poznańskich



Dowódca pułku przyjmuje defiladę szwadronów

stoczył w wojnie z Rosją. Nie noszą dziś rogatywek, a czarne berety z biało-błękitnymi proporczykami, — nie mają koni, a połączone czołgi, ale jak przed obecną wojną, tak i teraz Pułk Ułanów Śląskich, odrodzony 14 sierpnia na ziemi włoskiej, w San Basilio, skupia znowu synów Ziemi Śląskiej.

Bogata jest historia tego daleko w przeszłość sięgającego pułku. Zanim na wniosek Sejmu Śląskiego nadana mu została nazwa Pułku Ułanów Śląskich (od 1922 roku w Tarnowskich Górach stał garnizonem), ulani jego byli „Dziećmi Warszawy”, służąc pod sztandarem ofiarowanym im przez stolicę. Oni to, grupa ulanów pod dowództwem rtm. Byszyma, jako pierwszy zorganizowany oddział wojskowy rozpoczął w Warszawie walkę z Niemcami 11 listopada 1918, opanowując Zamek Królewski. Odrodzony po długiej od Powstania Listopadowego, przerwaniu pułk ten sformował się z Polaków z byłej armii carskiej i wszedł w skład Polskiego Korpusu gen. Dowórców-Musnickiego. W styczniu 1919 brał udział w walkach o Lwów, potem w wojnie polsko-rosyjskiej. Podczas kampanii we wrześniu 1939, Ułani Śląscy, wchodząc w skład Krakowskiej Brygady Kawalerii, przyjęli na siebie pierwsze uderzenie czołgów niemieckich. Zakończyli swe walki w krwawych bitwach pod Tomaszowem Lubelskim i Tarnawatką. W Armii Krajowej zorganizowane zostały dwa szwadrony konspiracyjne Ułanów Śląskich.

Czternasty czerwca... Piasek pustyni skrzy się i razi blaskiem odbijającego, jak w zwierciadle, słońca. Trzy prostokątnie do siebie ustawione szeregi szwadronów ulanów patrzają ku ołtarzowi, przy którym odprawia się polowa msza święta.

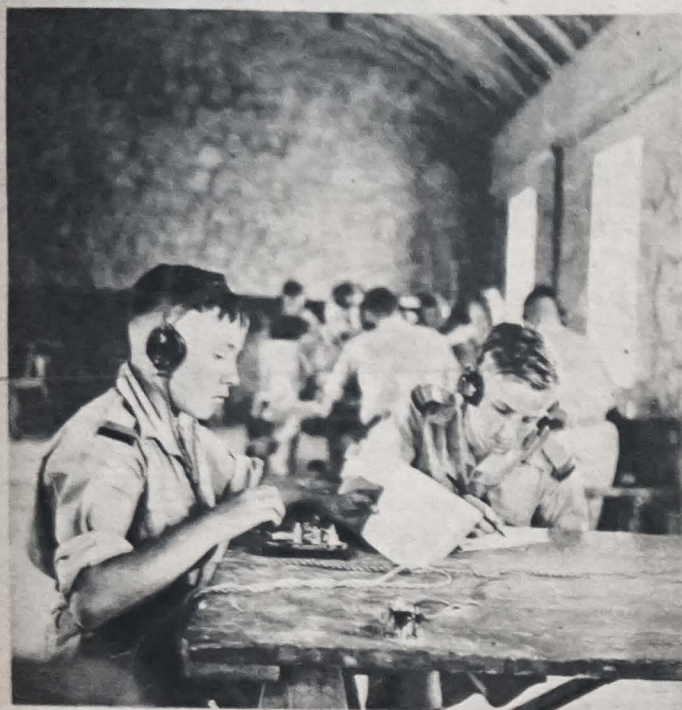
Przedtem dowódca Brygady Wielkopolskiej płk. B. przyjął raport od płk. S., dowódcy Pułku Ułanów Śląskich, w przeddzień zaś wieczorem po Apelu Poległych dowódca pułku przedstawił ulanów swoją historię. Po mszy jest defilada szwadronów przed dowódcą pułku. Idą — zwracając zgodnym wymachem, lśniący białymi pasami, groźni równo zawieszonymi Thompsonami. Wieczorem biorą się wszyscy przy ognisku, prawdziwie śląskim ognisku.

Ułani Śląscy obchodzą swe święto pułkowe w Egipcie, w którym zastał ich koniec wojny, obchodzą rocznicę dnia — 14 czerwca 1919 — pierwszej wielkiej i zwycięskiej bitwy, jaką pułk w całości

Goście



500 ŻYWYCH NAGRÓD PRZYJAŹNI



Podczas nauki



Pierwszy komendant brytyjski szkoły mjr. D. M. Naylor (w środku)

↓ Wolne chwile spędzali na basenie



W momentach ciężkich często nasza myśl i troska zwraca się ku młodzieży, która ma być spadkobiercą naszych osiągnięć i dążeń, i z którą wiążemy nadzieje na lepszą przyszłość. Zdajemy sobie jednak sprawę, że spełnienie tych nadziei zależy będzie w dużej mierze od tego, co jesteśmy w stanie dać młodzieży — już dziś. Troskę tę, najbardziej ludzką, rozumiemy nasi sprzymierzeńcy, starając się, aby młodemu pokoleniu polskiemu dać możliwie najlepsze warunki i przygotowanie do samodzielnego życia. Co innego jednak pomoc materialna, czy techniczna, a co innego sama praca dla młodzieży wymagająca nie tyle rutyny, ile zrozumienia i serca. Szkoła nie jest najłatwiejszym terenem współpracy dla przedstawicieli dwóch narodów, wymaga ona najwięcej dobrej woli, taktu i umiejętności współżycia. Jeśli jednak wyniki są dobre, trudno sobie wyobrazić bardziej cenną i „żywą” nagrodę za te trudy.

Takim pięknym i ciekawym przykładem współpracy angielsko-polskiej z młodzieżą i dla młodzieży była niedawno rozwiązana, po blisko trzyletnim istnieniu, Junacka Szkoła Łączności.

Kiedy 17 sierpnia 1942 roku 180 chłopców wraz z komendantem kapitanem W. przybyło na piaszek pustyni pod Kairem, czekał na nich typowy obóz angielski z unormowanym trybem życia wojskowego. Czekali na nich ludzie, którzy nie byli wychowawcami z zawodu, a ten szczególny typ 16 i 17 letnich „dzieci” — wciąż jeszcze oszołomionych i nieufnych po nagłej odzyskanej wolności — spotkali po raz pierwszy w życiu.

Szkoła, która w założeniu swoim była eksperymentem, miała dać chłopcom

przeciętne wykształcenie ogólne i możliwie najlepsze fachowe przygotowanie do zawodu telefonistów, radiooperatorów i mechaników. W szkole, oprócz kompanii polskiej stanowiącej tzw. „prawe skrzydło”, była jeszcze duża grupa młodzieży innych narodowości — Anglii, Grecji, Cypryjskiej, Płd. Afrykańskiej, Maltańczyki i Jugosłowianie. Elementy polski różnił się od swoich obcojęzycznych rówieśników ciężarem obcokrajowego przedzajęcia wstąpienie do szkoły. Pośród 180 pierwszych uczniów nie było ani jednego, który nie miałby świeżo w pamięci półtora roku spędzonego w Rosji. Okres ten zostawił głębokie ślady w umysłowości młodzieży. Zatarły się i zgaubiły w drodze wpływy domu, jak rozwiało się też jego pojęcie.

Została panująca nad wszystkim świadomość konieczności walki o byt, o jedzenie, o możliwość przeżycia. Jedną trzecią szkoła stała się jedynym punktem oparcia.

Kapitan W., który był z chłopcami od początku, opowiada jakie zdziwienie i zgorznienie budził początkowo fakt, że chłopcy tłoczyli się w kolejce po obiad i brali większą ilość porcji, niż byli w stanie zjeść — wykroczenie, jedno z cięższych, przeciw dyscyplinie życia obozowego, a wielki nietakt w oczach Anglików, opanowanych i karnych. W jaki sposób te „wykroczenia” naprawiono, z urazów leczono — mówi list pierwszego komendanta brytyjskiego szkoły majora D. M. Naylora do podwładnego mu personelu brytyjskiego. Pisz on:

„Polscy chłopcy przybyli do nas po to, aby wyostać się z psychicznego załamania, w jakie pogrążyły ich długie lata walki o byt. Potrzeba im moralnej pomocy i zachęty równie bardzo, jak technicznego wykształcenia. Urazów jednak nie uda się wypełnić zbyt prędko, i tylko przez naszą nieustanną troskę, opiekę i kontrolę będziemy mogli dać Polakom to, czego im zabrakło — radość wolności i radość życia”.

I dalej:

„Chcę, abyście czuli, że praca nad nimi i zainteresowanie się nawet najdrobniej:

Uлюбione ćwiczenie chłopców — gimnastyka na linach



Gen. Anders przed frontem kompanii, obok pierwszy polski komendant kpt. J. Winiarz



Kpt. P. H. Vigor rozmawia z Gen. Andersem po polsku

szymi szczegółami ich życia jest zarówno naszym przywilejem, jak i obowiązkiem. Dajcie tym chłopcom takie warunki, jakie chcielibyście dać własnym synom, a ich uznanie będzie naszą nagrodą”.

List ten charakteryzuje pełen serca stosunek Anglików do naszej młodzieży. Ze taka metoda dała, musiała dać, jak najlepsze wyniki, świadczą o tym fakty z życia szkoły. Kierowały nią nie tyle rozkazy i przepisy, ile przeświadczenie całej polsko-angielskiej kadry, że dobro chłopców jest głównym nakazem postępowania. Atmosfera wzajemnego zaufania i współpracy, której stworzenie było w dużej mierze zasługą polskiego komendanta i zespołu nauczycielskiego, rosła i rozwijała się, aż wreszcie — jak opowiada kpt. W. — doszło do tego, że angielski oficer kpt. P. H. Vigor (późniejszy komendant szkoły z ramienia Anglików), nauczył się polskiego i w tym języku wykładał chłopcom regulamin ruchu. Kpt. Vigor zdobył sobie wielką popularność wśród uczniów.

Trudności w porozumiewaniu się zniknęły zresztą bardzo szybko. Chłopcy uczyli się angielskiego z łatwością, szczególnie zaś wzrost zainteresowań w tym kierunku dał się zauważyć po pierwszych wakacjach w Sidi Bishr, gdzie znajomość angielskiego oddała po raz pierwszy cenne usługi w zawieraniu plażowych znajomości z aleksandryjskimi pensjonarkami.

Na terenie obozu współżycie polsko-angielskie ułożyło się doskonale. Polski szef dysponował angielskimi podoficerami, służbę pełnili Polacy i Anglicy razem, angielski kucharz gotował polski barszcz i pierogi, a chłopcy zapoznawali się czasem z angielską paką. Wyszło im to na zdrowie. Nauka ujęta w regularne tryby życia obozowego, dużo sportów, wycieczki, różne przyjęcia u polskich i brytyjskich przyjaciół szkoły pozwoliły im wkrótce zapomnieć o przebytej nędzy. Wyrobiły dużą sprawność fizyczną, dały

duży zasób wiedzy ogólnej i fachowej, znajomość angielskiego, rozszerzyły zakres pojęć, a wreszcie wygładziły obyczaje towarzyskie. Przez szkołę przeszło 500 chłopców — jest to żywy dowód udanego eksperymentu.

Z frontu nadchodziły pochwały i odznaczenia. Szkoła ma pokazać liczbę odznaczonych Krzyżami Walecznych i Zasługi, pośród nich są także polegli. Wyciągi z rozkazów podają rzeczowe pochwały żołnierskie, podkreślają ofiarność, odwagę i spokój. 19-letni szeregowiec A. M. — „w czasie największego natężenia ognia nieprzyjacielskiego naprawiał linię telefoniczną na najbardziej zagrożonych odcinkach, w trudnym, górskim terenie, zachowując spokój — wykaźał nieprzeciętną odwagę” — czytamy w rozkazie. Nagroda — Krzyż Walecznych. Jego kolega W. S. został odznaczony „za czynny męstwa i odwagi w czasie akcji nad Adriatykiem”.

Miło jest czytać te rozkazy tym, którzy chłopców ze Szkoły Łączności traktowali jak synów. „Synowie” odkąd znaleźli się w wojsku nie zapomnieli o szkole, piszą listy: „Nie wiemy jak mamy dziękować za trudy jakie ponieśliście w pracy nad naszym wychowaniem. Dzięki wam jesteśmy teraz ludźmi, którzy mają zapewniony byt i przyszłość. Jesteśmy już w wojsku i wiadomości, jakie posiadamy, mogą przynieść dużą pomoc Ojczyźnie, która na nas czeka” — pisze strzelec Witold Zarzycki w imieniu kolegów. Nadchodzą listy z osiedli w Afryce i Indiach, w których matki i ojcowie dziękują za synów, dziękują Polakom i Anglikom — szkole. I choć Szkoła Łączności już nie istnieje, łączność — ta najtrwalsza, jaką daje przyjaźń, zrozumienie i zaufanie zdobyte wysiłkiem dobrej woli i szlachetnością serca na terenie wspólnej pracy — trwa i pozostanie w naszej pamięci.

JADWIGA CZECHOWICZÓWNA

Zakładanie linii telefonicznej



Przyjaciele — chłopcy i psy



Na boisku sportowym — koszykówka



↑ Zdobył pierwszą nagrodę

↓ Pamiątka z wycieczki



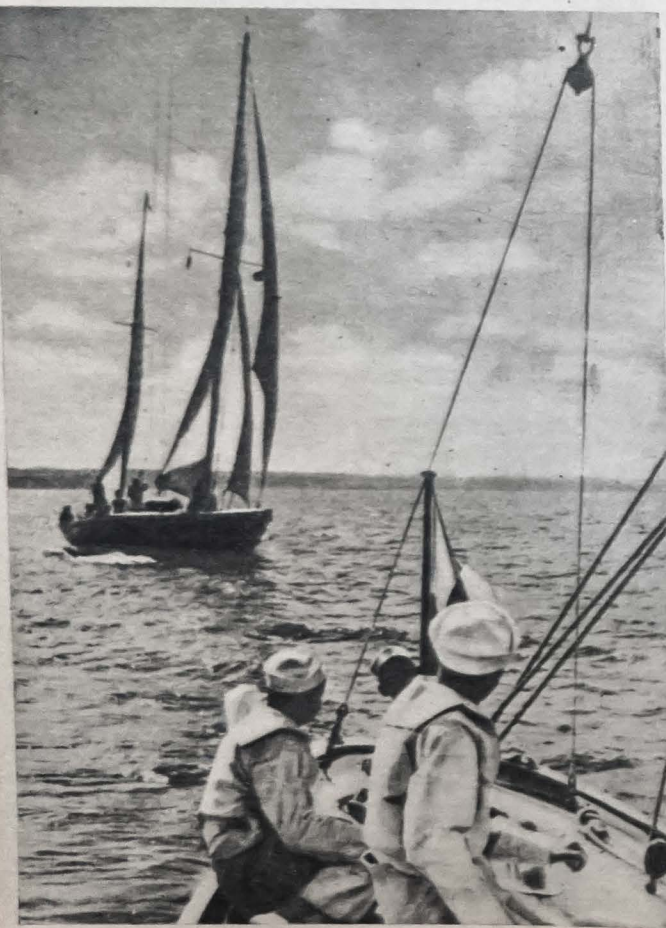
Tamten brzeg

Nie Haifa, Natanya, Port-Said, czy Aleksandria, nie Ancona i Sorrento, lecz Gdynia i Odańsk, Jastrzębia Góra, Jastarnia, Hel i Sopoty... Wtedy — zanim zagarnął nas zmierzch, nocy oddając.

Najpiękniej i najchętniej było w Jastrzębiej Górze, na wąskiej plaży zadrzewionej orzechami, w które biła gwałtowna fala. Na międzymorzu helskiego półwyspu poszum sosen z szumem mieszał się morza, z dwóch stron, od zatoki i otwartego Bałtyku. Jastarnia, to brzydkie o niepojętej pojemności pudełko sardynek, bawiła się zawsze najlepiej. Ośrodki Akademickiego Związku Morskiego, młodzież z całej Polski, piękne, wspaniale zbudowane dziewczyny... Wysokie sosny i szeroka plaża, smukłe żaglówki i rachityczne chaty, brzydkie domki, zapach morza i wędzonych flaków... Tańczyło się zawsze po południu na molo — u „pana Mola”, na zakończenie przy melodii „Trawka zielona, raz, dwa, trzy”. Nie zmieniało się to przez lata, jak i niezmieniało najlepiej się jadło u ciotki Jasi, w „Jamnie”. Wszędzie, z wyjątkiem nowoczesnej Juraty, mieszkaliśmy dom w dom, czy nawet jeszcze bliżej, z rybakami, zawierając przyjaźnie często znacznie większe, niż wartość sezonowych zarobków, jakie przynosił gospodarzom ten wszechpolski ciąg nad morze. Wystawione rybakom Władysławowo było rzetelnym symbolem tych związków, w jakie wchodziła teraz Polska z Kaszubami, związków serca i codziennego interesu.

Po największą garść romantyzmu morską — dziękuję, pustej plaży i lasu jeździło się do samego Helu, holenderskiej wioski kaszubskich rybaków. Amatorzy prymitywu lokowali się w Chłapowie, w Chatupach, i wszędzie, gdzie tylko mógł dobrnąć wędrujący namolnie i odkrywający wybrzeże leśnik. Raz znalazł, został i zwykle powracał, wierny swej plaży i zagrzebanej tu urodzie życia, co rok odzyskiwanej na nowo.

Smukłe żaglówki



Orłowo miało swą spokojną wodę i komfort, Sopoty — nie mówmy o kasynie gry — lesiste wzgórza, operę i koncerty, Gdańsk — wspaniale szeroką plażę Siennej Huty, na którą jechać trzeba było tramwajem — z Długiego Rynku, sprzed patrycjuszowskich kamieniczek. Gdynia, ulicami i nabrzeżami pełną, wchłaniała morze. Zjadała też plażę, z której niemal nic nie zostało. Ramiona nad zatoką na zachód i wschód wyciągając, zerkała ku Gdańskowi. Ustawicznie głodna... Nad morzem życie było szersze i świeższe, a miłość pełniejsza, bardziej szczerza, wyzwolona. Dziewczyny hojniejsze, smak początków przyjemnie słony.

Czy pamiętacie samotny z dziewczyną spacer, z Władysławowa do Jastarni, pustą jeszcze w maju plażę? Zachód słońca w Jastrzębiej Górze? Lub księżycowy pochód ku Gdyni, lesistymi ścieżkami Redłowa... Kratę królewskich spichlerzy zielono w wodach Motławy odbitych... I kuranty wień gdańskich, rzucające czary na wsłuchanych nocą kochanków?

Pamięć wyostrożona, wzmożona pustką tyłu lat, na plac Grunwaldzki w Gdyni schodzi, tysiące obejmując ludzi, rok rocznie tu właśnie zebranych, z całej Polski, z własnego pędu. Przysięgających tej miłości i tęsknocie, jakiej nigdy przedtem na ziemiach polskich nie było, a jaka ich jest własnością, z uczucia zrodzona, ale już i przez rozum pojęta, zatrzymaną. Święto Morza stało się naprawdę — świętem narodu. Jedynie spośród wielu sztucznie i zbyt licznie stworzonych „świąt” zaczęło ono masę, wyrwyjąc z nich nie tylko entuzjazm, uczucie, ale także zrozumienie i rzetelny wysiłek. Nie było u nas potrzeby budzenia miłości matki, miłości wojska, ani ziemi, czy lasu, ale trzeba było stworzyć poczucie własności morza, wykrzesać u uczucie miłości i zrozumienie, umiejętność jego — uprawy. Nie znali tego nasze dzieci.



Jacht „Krzysztof Arciszewski”, znany z dalekich wypraw

Święto Morza, obchodzone w całej Polsce, z niezbędnego instrumentu propagandy stało się po latach już tylko symbolem czegoś, co nierozdzielnie zrosło się z narodem, zwłaszcza z najważniejszą, młodą jego częścią. Fala tęsknot i nowych pragnień, jaka nieustannie parła ku wybrzeżom morza polskiego, niosła ze sobą coraz większą liczbę ludzi, którzy z nim związać chcieli swą przyszłość.

Piją w Gdyni kawę u Fangrata, a w Gdańsku wino w starym jak Holzmarkt handelku, liczyliśmy nie tylko cyfry obrotów portowych, wybudowane baseny i chłodnie, ale również nowych ludzi i coraz lepsze wyniki polskiej uprawy morskiej. Ze starym winem i nastrojem tradycji gdańskiej doskonale zgadzała się młodość nieznaną tu przedsiębiorczości polskiej. Pijąc wino, mieszałyśmy tematy, zahaczając i o miłość... W białym domku na Kamienną Górę był ktoś, kto zawsze czekał i czekałując dzień powszedni z oczu, wiedzieć chciał wszystko: co było, co będzie, co jeszcze być może... Nad brzegiem morza.

Zmierzył nas ogarnął.

Na Placu Grunwaldzkim w Gdyni, w Święto Morza

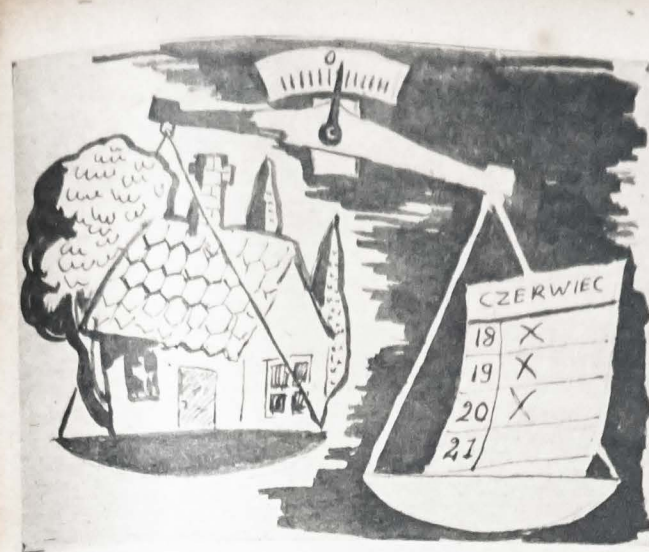


Melodia jest jakby dwóch instrumentów. Ton pierwszy, mocny — uderzenie fali, potem odzew — przeciągły szum podlizującej piasek wody. Raz, dwa... raz, dwa... Tylko to jest jak kiedyś, jak tamten szum na naszym brzegu. Tylko to...

Piasek aleksandryjskiej plaży jest brudny i lepki, i w niczym nie przypomina idealnie sypanego, czystego piasku Bałtyku. Kolor nieba i wody nieznajmniej równy i niezmacony. Gdzie są te chmury ciękie, gdzie tęcza morza — wody zielonej, szarej, niemal czarnej, a spokojnym mglistym rankiem — aż męczący? Wszystko, wszystko jest inne, jakiś dziwnie nierzeczywisty świat, w którym tylko ja sam czuję się rzeczywistością, ja sam i beznadziejnie bolesną świadomością, że taka jest dal między tym a Tamtym brzegiem. Być może, dal — niewymierna. Na Kamienną Górę patrzę jak na górę już — czarodziejską.

Aleksandryjka, Marcelle niczym tego złagodzić nie może, a tylko zaostroża...

Obcość tego brzegu.



Juliusz Mieroszewski

Dom racjonowany

Za mną pozostała metaliczna bieżnia drogi, samochody i ludzie w khaki. Tu jest inna strefa wpływu. Wąska, kamienista ścieżka wydeptana wiekami przez pokolenia zwierząt i ludzi. W jasne, modlitewne niebo wprawiony biblijny, palestyński pejzaż. Popielate ugory, złoty skał i winna latość pnąca się zielenią i nadzieją. W dali góry nagie i antyczne, jakby ze starożytności.

Jest skwarne, letnie południe. Skupiona cisza trwa w stołcu. Z Air-Karem podpłynął niedzielny, zgrzebny dźwięk wiejskiego dzwonu.

Dzwonią na sumę jak w Niegardowie.

Na pobliskim gładzie wygrzewał się kameleon. Patrzył we mnie z uporem mrugając leniwie opadającą powieką.

Stajem między tym starczym spojrzeniem a melodią wiejskiego dzwonu, jak zbieg schwyłtany na granicy.

II

W Jebel-el-Rab pada deszcz. Siedzę w obężnym hall'u w wygodnym fotelu i słucham melodii rzeczy. Deszcz tnie szyby skośnymi strugami. Cyprysy szumią jodłowo, górzyscie. Z kredensu dobiega brzęk porcelany i zapach gotowanego mleka. Na korytarzu strzeliło niedomknięte okno. Ktoś wszedł do kuchni i z hałasem wyciera buty z błota, tupiąc o drewnianą podłogę. Mokre wrony kraczą na eukaliptusach. Stola...

Jest niepojęty urok w tej codzienności — w rytmie rzeczy nieważnych a domowych.

Rena krzyknęła z góry na Leonie: „Zamykaj drzwi, bo przeciąg!” Zmęczone psy witały się na dworze z Tadeuszem. Śmiech Moniki zbiegł z piętra, jak kulka szklana strącona z kamiennych schodów.

W hall'u jest wcześniej i pusto. Duży stojący zegar tyka ospale. Ze ścian patrzą anemiczne, natwone fotografie ludzi dawno odeszłych. Pani z lat 70-ych i pan w wysokim kotelnicy.

Przez szyby płynie męczące, deszczowe światło. Letotą tego spokoju, który leży jak plusz w przestrzeni, jest chyba jego oczywistość. Jest go tak wiele, że nie ma już miejsca na lęk i niepewność.

Mam pełną świadomości, że w obecnej epoce codzienność jest racjonowana. Toteż zdecydowany jestem mój

gramowy przydział spokoju konsumować i wchłonąć bez reszty.

Czekam po prostu na śniadanie. Nie spieszę się, nie denerwuję, jestem bogaty w czas. Patrząc przed siebie i rozkoszując się tym, że nic się nie dzieje. Tak wyglądam dom na co dzień. Tak było, gdy wracałem z zagranicy i odeszukiwałem wszystko na dawnym miejscu bez zmian. Taki jest smak tradycji.

Tamto sponono, odeszło.

Tu w Jebel-el-Rab tworzę makielę domu, makielę utraconej codzienności.

To ma być racjonowany dom trzydniowego urlopu.

Wiatr rozdarł niską chmurę, która przystanęła dalekie morze. Słońce mokre od deszczu błysnęło rękawicem. W szybach zaokrążyło się purpurowo, a liście eukaliptusów nabrały srebrzystości topól.

Otwartem drzwi i wyszedłem. Było tak, jak po letniej burzy u nas. Wiatr cichł. Szedłem kamienistą drożką wśród drzew. Na ziemi leżały mokre eukaliptusowe liście. Patrzałem w nie, jak w twarze znajomych — jakbym w tłumie ludzkim pragnął odszukać rysy człowieka, który dawno umarł.

III

Schodzimy stromą ścieżką w dół. Mijają nas Arabki z dzbanami na głowach, sprzedawcy pomarańcz i znużone, apatyczne psy.

Już nie przynależę do tego obrazu. Mój przydział na spokój i codzienność został konsumowany.

Siedzimy na werandzie wiejskiej arabskiej kawiarni i pijąc kawę czekamy na autobus. Za chwilę rozjedziemy się na nasze miejsca postoju.

Patrzę ku wzgórzom, ku Jebel-el-Rab i w ów spokój statyczny, niemal dotykający, który tkadzie się jak miękki cień obryzwanego drzewa. To wszystko jest już tylko bezosobową panoramą, oglądaną z okna pędzącego pociągu.

Liczę kwadrans. Kręcę się niespokojnie, jak widzę na przedstawieniu z karnetami, jak widzę na przedstawieniu z karnetami, nieważnym biletem. Nie rozmawiamy. Jest tak, jakbyśmy nie byli sami — jakby oprócz nas był jeszcze ktoś czwarty.

Tym czwartym jestem ja sam — obecny. Moja nieobecność krystalizuje się w kapłanach zwyczajnie minutach. Z kapłanów jest mnie tu mniej.

Spójrzcie, którym obejmuję Monikę, wydziera się aż do bólu. Tak musi patrzeć rozbiitek na oceanie za samolotem, który go nie dojrzał.

CHAPLIN POD PIRAMIDAMI

„Klub Kaktusa” — poznański klub artystów urządził rokrocznie szampańskie bale i zabawy. Był więc „Bal Wisielców”, gdzie miast zaproszenia otrzymywało się w zalakowanej, czarnej kopercie kawałek szubienicznego sznurka, był „Bal Galganiarzy”, na który wolno było przyjść jedynie w kolorowych kalesonach. Był wreszcie „Bal Banalny”, maskarada, której organizatorzy przeznaczyli koszt wina w nagrodę, nie za najbardziej pomysłowy, lecz przeciwnie, za najbardziej banalny kostium. Sala wówczas rola się przede wszystkim od gości, przybranych w przykrótki fraczek, przetarte spodnie, dziurawe buciory i sfatygowany melonik. Czarne wąski i trzciniowa laseczka dopętały stroju sobowtów z wielokrotnością tak nagle Chaplina. O północy gong obwieścił, że jury konkursu zakończyło obrady. Na sali zaległa cisza. Cyganki, czarki, kolombiny, marynarze, odaliski i setki rozmnożonych Chaplinów zamilkło, by w skupieniu wysłuchać komu przyznano nagrodę. Orkiestra zagrała tuz. Na estradę wstąpił przez Klubu Kaktusa, poeta Artur Maria Swinarski ogłaszając, że nagrodę za najbardziej nieciekawą, nie pomysłową i banalną kostium otrzymuje inspektor policji, który siedzi w tej właśnie łóż, proszę państwa, tam, po lewej stronie. Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku. Nagrodzonym inspektor, który bynajmniej nie brał udziału w konkursie, siedział w swym policyjnym, granatowym mundurze przy orkiestrach. Cała sala ryknęła śmiechem, inspektor zaś nie zdołał obrzucić się, ponieważ, jakby nie było, kosz burgunda, piechota nie chodzi. Komiczne posturki imitatorów najpopularniejszego, smutnego komika, szczerze posmutniałe, z niczym, rozeszły się do domów.

Chaplin, najślawniejszy aktor filmowy, zanim myślał, iż kiedykolwiek zostanie artystą, początkowo zarabiał na życie jako — karawaniarz. Maszerował za pokójkami z latarnią na ramieniu, w srebrnym obfitej czarnej pelerynie, w admirałskim pierogów na głowie, z wyrazem twarzy przeproszenia nieutulonego w żalu. Nie długo, jednak pracował w tym zawodzie. Właściciel zakładu wylał go wkrótce z kretesem, gdyż Chaplin swoim wyglądem różnił się od pozostałych w żądzie gości. Nawet złośliwie pogardzonych nieboszczyków nie mogły powstrzymać śmiechu.

Dyrektor teatru, dokąd Chaplin zgłosił się z prośbą o posadę, widząc tego tragicznego człowieka, odwrócił się: — Niestety, nie mogę pana zaangażować. Z pańskiej gry ludzie będą się śmiać. — W porządku — odparł Chaplin — w tym celu do pana przyszedłem. — W ten sposób niemilosierny melonik i makabryczny fraczek zredukowanego karawaniarza, uratowały bezrobotnego od nędzy, tworząc nowy, niespotykany dotąd styl artystyczny. Szukał i lubi dziwnymi nierzadymi drogami.

Po raz drugi tenże strój darował życie komuś innemu. Na ulicy okupowanego Lwowa, pewien pozabawiony pracy polski grafik został zatrzymany przez patrol NKWD. Bezrobotnemu groziła deportacja na Sybir.

— Jaki twój zawód? — spytało aresztowanego. — Za grafika lepiej było nie podawać się, gdyż wówczas stałoby się skazanym na wypisywanie wiadomych lasów. Podał się więc za aktora. W chwilach niebezpieczeństwa nachodzą ośmieszanie. Jeśli jest nieco przesady w przysłówiu, że tonący chwyci się brzytwy, to tym razem tonący chwycił się trzciniowej laseczki. Po kilku próbach grafik przedstawił się teatralnemu cenzorowi sowieckiemu, jako wieloletni imitator Chaplina.

Tak oto Feliks Fabian-Chaplin, czasu wojny, uniknął więzienia, a później w Armii Polskiej na Wschodzie przystąpił do artystycznej czołwki. Niedawno przybył do Kairu na zdjęcia filmowe. Zjawienie się Chaplina na ulicach egipskiej stolicy wywołało nie tylko sensację, lecz i zmieniło charakter miejscowej ludności, tak dalece, że starszek Sflinks, gdyby mógł wyciągnąć łapy z piasku, z pewnością schwyłby się za głowę. Wiadomo bowiem, że Arabowie na widok cudzoziemca, wznoszą bojowy okrzyk: „bakszsz!” — zapałem domagając się pieniędzy. Tym razem jednak nie tylko, nie chcieli od Chaplina datki, lecz przeciwnie: weścili mu w ręce banknoty z prośbą o złożenie na nich autografu. Biedny aktor nie mógł podpisać się ani swym skromnym nazwiskiem, ani nazwiskiem odwarzanego artysty. Podpisywał się więc: Chaplin Drugi.

— Czemu tak ci drżą ręce — spytał go ktoś. — Czy dlatego, że podpisujesz się za Chaplina?

— Nie — zaprzeczył wzruszony artysta — tylko do podpisu podano mi banknot dziesięciofuntowy, a ja, wyobraź sobie, musiałem go zwrócić.



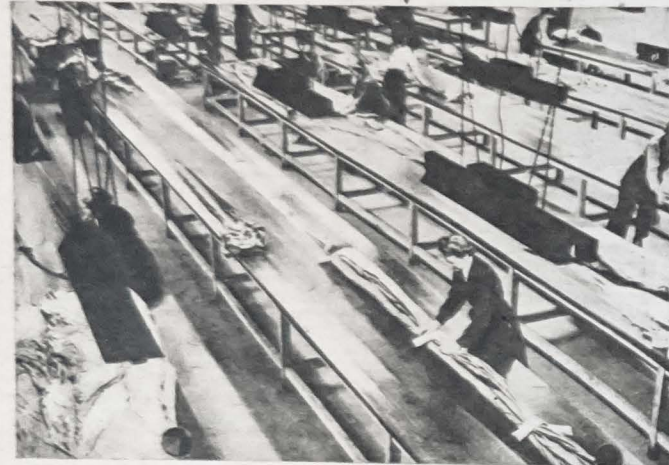
Groteskowe regulacja ruchu



Chaplin rozmowa ze Sflinksem...



Każde z 24 części powłoki trzeba zwieźć osobno. Pakowanie spadochronów odbywa się na stołach o idealnie gładkiej powierzchni



Żołnierze 101 Dywizji Powietrznej, którzy odnaleźli ukryte dzieła sztuki, zorganizowali ich wystawę w byłym dowództwie Luftwaffe. Większość tych rzeźb została zrabowana z kościołów w okupowanej Europie



Wycieczka w Zakł. Graf. AL-HILAL w Kairze dla Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F. Printed in Egypt by AL-HILAL, Cairo, for Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F.

W sekundzie skoku...

W drogocennych sekundach skoku z płonącego samolotu panuje jedna myśl — czy spadochron się otworzy, czy nie zawiedzie?

Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że odpowiedź na to pytanie zależy od jakiejś dalekiej dziewczyny w granatowym mundurze WAAF'u i że w jej rękach spoczywa los człowieka skaczącego z wielu tysięcy metrów w dół.

Należyte działanie spadochronu zależy od trzech rzeczy. Jedwabna powłoka musi być absolutnie cała, bo najmniejsza dziurka spowoduje jej rozdarcie, linki jedwabne nie mogą być wilgotne, przetrzane, ani splecione, wreszcie całość musi być odpowiednio ułożona i zapakowana, aby spadochron mógł się szybko otworzyć. Czuwają nad tym dziesiątki kobiet z pomocniczej służby kobiet w lotnictwie. Sama nauka trwa cztery miesiące, a dopiero po długiej praktyce można osiągnąć przeciętną szybkość w pakowaniu — dwie godziny na jeden spadochron. Najmniejsza pomyłka, czy niedopatrzanie — oznacza śmierć człowieka, nie więc dziwnego, że WAAF'ki traktują swoją pracę poważnie.

Pakowanie spadochronów odbywa się w długim pokoju, którego temperaturę utrzymuje się stale w dość dużej wysokości. Ma to na celu wysuszenie spadochronów, które przez 24 godziny wiszą u sufitu, zanim można przystąpić do ich oględzin i pakowania. Każdy cal kwadratowy jedwabiu musi być dokładnie obejrzany i sprawdzony, zajmuje to wiele czasu, bo spadochron ma około 60 metrów długości i jest zrobiony z 96 oddzielnych kawałków materiału. Każde uszkodzenie trzeba załatać w ten sposób, aby łata była równie mocna, jak reszta powierzchni. Przyniesie jej wymaga dużej dokładności, na przestrzeni jednego cala musi



się zmieścić jedenaście maleńkich ściepek. Jeśli jest choć o pół ścięgu mniej, cała bota zostaje odrzucona jako niedobór. Praca ta, wskutek używania szkła powiększającego, bardzo wyczerpuje wzrok.

Po sprawdzeniu powłoki następuje pakowanie i tutaj kobiety rozwijają całą swoją zręczność, aby uporać się z nieskazitą masą jedwabiu i płatanną sznurówką, którą trzeba zmieścić w małym pokrowcu, nie wiele większym od plecaka. Spadochron wyciąga się na całą długość na specjalnym stole o bardzo gładkiej powierzchni, a następnie każdą z 24 głównych części związa się oddzielnie odpowiednio ciasno. 24 linki jedwabne, z których żadna nie może być skręconą, czy poplątaną, naciąga się, a potem związa i przymocowuje do torby, w której umieszczony jest spadochron. Samo pakowanie przy dużej wprawie trwa ponad pół godziny. Gdy spadochron jest już w worku z gęstego płótna, do środka wsuwa się karteczkę, na której widnieje data pakowania i nazwisko kobiety, która spadochron przygotowała do użytku. W ten sposób lotnicy dowiadują się, komu zawdzięczają sprawne działanie spadochronu, a często i uratowanie życia.

Z dalekich frontów nadchodzą listy z wyrazami wdzięczności i uznania dla ciężkiej i odpowiedzialnej, choć tak mało znanej pracy, kobiet z WAAF'u. Listy te są ich nagrodą i dumą.



Odnalezione w „skarbcu” Goeringa obrazy Rembrandta i Lucasa Cranacha; na lewo „Ewa” posąg z XV wieku

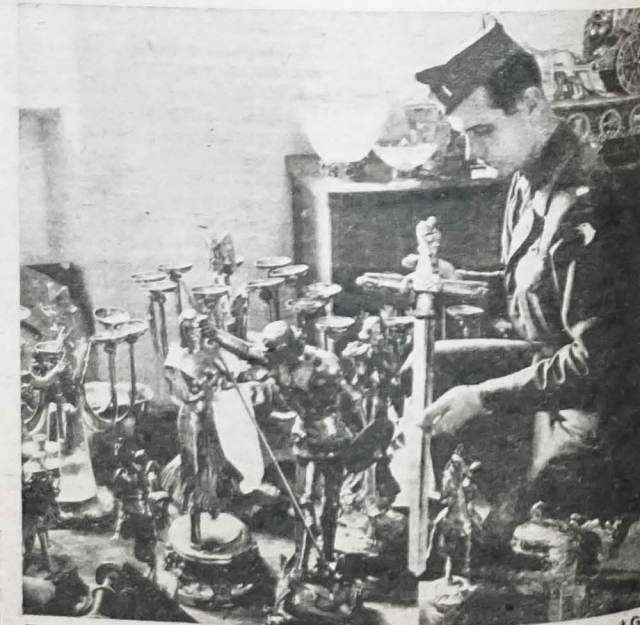
Żołnierz amerykański na straży przed obrazem „Wenus i Adonis”, zrabowanym z kolekcji Wildensteln

Na miesiąc przed kapitulacją Niemiec specjalny pociąg unosił z Berlina do małej wioski bawarskiej Unterstein, w pobliżu Berchtesgaden, — beczenną kolekcję dzieł sztuki, która do tej pory bezpiecznie zdołała mieszkanie Hermana Goeringa, marszałka Rzeszy, wodza lotnictwa niemieckiego i jednego z największych gangsterów świata.

Zaledwie w parę tygodni później oddział amerykańskiego kontrwywiadu, odkrył na stoku góry w pobliżu wsi sztuczną jaskinię, w której zbiory zostały ukryte. W wymiurowanym wnętrzu pokoju znaleziono obrazy zrabowane ze wszystkich największych galerii sztuki w okupowanej Europie, posągi, stery złotych naczyń i biżuterii. Kilka tylko obrazów stanowiło własność prywatną Goeringa, ogromną większość nabył drogą konfiskat, dokonywanych z jego polecenia przez tajną policję i „wydział sztuki” Luftwaffe, w Belgii, Holandii, Francji i we Włoszech.

Ulubionym malarzem Goeringa był Lucas Cranach (XVI w.). Ponad 50 Jego obrazów znaleziono w zbiorach marszałka lotnictwa, prócz tego pięć dzieł Rembrandta i jedno Van-Dycka.

Goering utrzymywał, że celem Jego „kolekcjonerstwa” było dobro całego narodu niemieckiego, jednak liczne fotografie pozwalały stwierdzić, że obrazy te wisiały na ścianach Jego apartamentów, szczególnie w Karinhall koło Berlina. Posągi również pochodzą ze znanych galerii sztuki, rzeźby zaś i złote naczynia zrabowano bądź z kościołów, bądź z prywatnych zbiorów. „Skarbiec” Goeringa zbudowany na wzór schronu posiadał specjalne urządzenia wentylacyjne.



Złoty miecz ze swastyką — otrzymał Goering od Mussoliniego

W „SKARBUCU” GANGSTERA GOERINGA

- Str. 1 — Nad mapę plastyczną — fot. „Parada”
- Str. 2: fot. British Min. of Information
- Str. 4 i 5: fot. Londowski, „Parada”
- Str. 7: fot. RAF
- Str. 8 i 9: fot. Stellman, „Parada”
- Str. 13: fot. Ref. Film
- Str. 14 i 15: fot. British Ministry of Information, Keystone
- Str. 16 — Na urlopie — fot. Referat Filmowy

Układ graficzny: JERZY MEODNICKI

